

# Feralny tydzień (opowiadania)



JANUSZ KORCZAK

## Feralny tydzień. Opowiadania

### FERALNY TYDZIEŃ<sup>1</sup>

Węglarz zrobił zawód.

Tatus bardzo się gniewał, że mama wszystko odkłada na ostatnią chwilę. — Mama powiedziała, że jak tatus nie wie, żeby nie mówił, bo węgle były zamówione już w czwartek. Tatus powiedział, że w mieście, chwała Panu Bogu, nie jeden jest tylko węglarz. Mama powiedziała, że wie o tym lepiej od tatusia, tylko że ten właśnie daje dobrą wagę. — Tatus powiedział, że mu groszowe oszczędności mamy stoją kością w gardle. Mama bardzo się obraziła. Niech tatus sam gospodarstwo prowadzi; tatus jest człowiek bezwzględny; mama miałaby też wiele do powiedzenia. — A tatus powiedział: już się zaczyna stara śpiewka, i wyszedł.

Działo się to w niedzielę, a w poniedziałek rano w mieszkaniu było zimno jak w psiar-ni.

Stasia już dwa razy budzili, raz mama, a drugi raz Ludwika. Stasio udaje, że śpi. Pod koldrą ciepło, a w pokoju zimno i ciemno, na ulicy zimno i błotno, a w szkole...

— Pani kazała się spytać, czy Stasio wstał... Niech Stasio wstaje, bo późno... Stasio się spóźni do szkoły.

Ludwika pociąga za koldrę.

— Zaraz.

— Zaraz to zaraz. Proszę wstać.

— Niech Ludwika sobie idzie.

Ach, jak on nienawidzi tej wstrętnej kuchary, która do wszystkiego się wtrąca.

— Dobrze, powiem pani. Niech sobie Stasio leży. — Stasio nienawidzi Ludwika. Nienawidzi za to, że musi wstać, za to, że dziś poniedziałek, a w tygodniu nie ma święta, za to, że nauczyciel odda dziś dyktando, w którym Stasio zrobił dwa grube błędy, o których wie; a wreszcie za to, że dziś jest pierwsza geografia, z której go pewnie wyrwie, bo tylko sześciu zostało, którzy odpowiadali po razie.

— No co, wstaje? — rozlega się głos mamy ze stołowego pokoju.

Stasio siada w łóżku i pod koldrą zaczyna się ubierać leniwie.

— Aha — mówi Ludwika z triumfującym uśmiechem.

— Jak Ludwika nie pójdzie, to ja się nie będę ubierał.

— Ojoj, jaki to skromniutki — żeby się kto nie dowiedział.

„Żebyś zdechła” — myśli Stasio w najwyższej pasji.

\*

Szary, posępny, gnuśny, poniedziałkowy ranek.

Idzie Stasiek z tornistrem na plecach i troską w sercu, stara się robić duże kroki, aby każdy krok odpowiadał jednej płycie trotuaru, uderza ręką w blaszane szyldy mijanych sklepów.

— Dzień dobry.

Podają sobie obojętnie ręce.

— Wiesz, byłem wczoraj w cyrku.

<sup>1</sup>Feralny tydzień — działo się to za czasów szkoły rosyjskiej. [przypis autorski]

Wiśnicki zawsze się musi wszystkim chwalić.

— Wielkie rzeczy — pewnie na popołudniowym.

I Stasio zbacza na stronę, aby wejść w kałużę.

Wiśnicki milknie, niemile dotknięty.

— Właśnie że byłem na wieczornym. A wreszcie to wszystko jedno.

— Jutro, a nie dziś wszystko jedno. Po południu przedstawienia są dla dzieci.

— Właśnie że nie, tylko że wolno wziąć jedno dziecko za darmo, a reszta wszystko to samo.

— Ale lwów po południu nie dają.

— A właśnie, że i lwów<sup>2</sup> dawali.

— I wchodził do klatki?

— A wchodził.

— Jak kogo kochasz?

— Jak ojca kocham. — I patrzy Stasiowi prosto w oczy.

— No to się złapałeś, bo byłeś po południu.

— Wcale się nie złapałem.

— A skąd wiesz, że wchodził do klatki?

— Skąd wiem, to wiem.

Idą obok siebie gniewni i milczący.

— Dzień dobry.

Czerwińskiego Stasio też nie lubi, bo kowal<sup>3</sup> i głupi.

— Wiecie: w tej dykcie nie zrobiłem ani jednego błędu.

— A jak napisałeś *poślednieje*? — pyta Wiśnicki.

— Fi, także mi sztuka.

Jest to właśnie jeden z dwóch grubych błędów Stasia.

Stasio odłącza się od nich, idzie brzegiem rynsztoka — na samym brzuszku, rozstawił ręce i utrzymuje równowagę. — Spogląda z ukosa na kolegów i myśli z niechęcią: „Szczeniaki”.

\*

— Na miejsce. Dosyć.

Teraz kolej na Stasia.

Stasio szybko chowa zegarek. Trzy minuty do dzwonka.

Jeszcze zostało tylko dwóch, którzy odpowiadali po razie, a z siedmiu wyrwanych dzisiaj aż cztery dwójki.

Ostatni wydawał na M; na N nie ma nikogo, na O — jeden, a potem P. — Jednym szybkim rzutem myśli obejmuje groźbę sytuacji. „Prędej, dzwonek, prędzej”, krzyczy myśl jego w strasznym, dzieciom tylko i obłąkanym znanym przerażeniu. — „Boże, zmiłuj się”.

Nauczyciel postawił stopień, naprzód w notesie, potem w dzienniku; przebiega wzrokiem listę, przewraca stronę notesu — Stasio jest tam na samej górze.

— Prechner.

Westchnął głęboko. „Boże miłosierny, dzięki Ci”. Serce jego, kołające jeszcze niepokojnie po doznanych wstrząśnieniu, przyklekło w kornej modlitwie.

Więc w sobotę będzie wydawał: nauczy się na pięć — przez całą dużą pauzę będzie powtarzał.

A Prechner powoli poprawia bluzę, bardzo powoli zamyka książkę, chrząka.

— Do tablicy — niecierpliwie się nauczyciel.

Wolno wysuwa się z ławki. — I dzwonek. — Nasamprzód<sup>4</sup> jedno uderzenie ciche, przytłumione; to stróż bierze dzwonek do ręki; a potem cała fala głośnych, jędrnych, zbawczych uderzeń dzwonka.

Nauczyciel skinął ręką, odłożył pióro, zamknął dziennik i wyszedł.

Klasa huczy dziesiątkiem głosów. Stasio przyłącza się do grupy, gdzie Prechner opowiada, że nie miał książki w ręce, że nie odpowiedziałby ani słowa. Widać, że się nie

<sup>2</sup>lwów — dziś popr. forma B. Im: lwy. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>kowal — tu w znaczeniu: kujon. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>nasamprzód (daw.) — najpierw. [przypis edytorski]

chwali, tylko że naprawdę nie umiał. I nic dziwnego: odpowiadał już trzy razy. Nauczyciel chciał go złapać — to jasne.

Pierwsza pauza trwa krótko.

Na religii sąsiad daje Stasiowi obiecaną książkę. Stasio przegląda spis rozdziałów, trzymając książkę pod ławką, potem zrazu jakby niechcący, a potem uważniej — przebiega treść pierwszego rozdziału; wreszcie kładzie książkę na ławkę, przykrywa do połowy religią, ciekawe.

— Co czytasz? — pyta kolega z tylnej ławki.

Stasio spogląda z niepokojem na księdza.

— Nie twoja rzecz; pilnuj swego nosa.

Godzina przemija szybko.

W serce Stasia wkrada się niepokój. — Już posłowie donieśli, że Szparag przyniósł kajety<sup>5</sup>, już dyżurny woła, żeby siadać na miejsca, już pedel<sup>6</sup> dwa razy uderzał kluczem w szybę oszklonych drzwi, aby uciszyć klasę. — Uderzenia kluczem w szybę nauczył się od inspektora: małpuje.

Lekcja się zaczyna.

— Kogo nie ma w klasie?

Szparag przepisuje stopnie z notesu do dziennika. Uczniowie z pierwszej ławki unoszą się, aby z ruchów pióra odgadnąć, ile<sup>7</sup> kto dostał z dyktanda — pokazują na palcach.

— Dyżurny!

Obaj wyskakują po kajety: jeden żyd, drugi katolik; Szparag żydowi kajetów nie daje; boć to, bądź co bądź, czynność odpowiedzialna.

— O, mój kajet — dawaj.

— Poczekaj — po kolei.

— Przemyski.

— Dawaj.

Stasio nie ma odwagi spojrzeć. Przewraca kartkę po kartce: dwa, trzy, trzy, dwa, trzy, dwa, trzy, trzy — a teraz?

Rumieńce wystąpiły mu na policzki. Serce bije tak mocno jak na geografii. — Na pierwszej stronie dwa małe błędy, raz podkreślone, trzeci — podkreślony falistą linią — i jeden z owych dwóch grubych błędów. — Nie ma co patrzeć: dwójka.

— Ile?

— Odczep się.

Stasio przymyka oczy, przewraca kartkę i nakrywa bibułą<sup>8</sup>. Bibułę odsuwa powoli. — Nie ma czerwonego atramentu, nie ma, nie ma, może choć z dwoma minusami? — I oto fatalne zdanie. Sen czy jawa? — Nie ma. — Stasio gotów jest krzyknąć z radości: błąd jest — siedzi bestia, ale go Szparag nie zauważył. — Śmiałym ruchem odkrywa stopień: trójka z minusem. Gdyby zauważył, byłaby dwójka. — I Stasio doznaje bardzo złożonego uczucia: wdzięczności dla Szparaga, że nie zauważył błędu — i gniewu, że mu za jeden gruby błąd i dwa małe — postawił tylko trójkę z minusem: przecież mógł czystą postawić.

— Widzisz? — pokazuje sąsiadowi.

Sąsiad powitał odkrycie życzliwym uśmiechem.

— A ty ile?

— Trzy plus.

Zaczęli porównywać błędy.

— Ciszej — upomina nauczyciel.

I zaczyna się poprawianie dyktanda, dziesiątki prawideł powtarzanych dziesiątki, mało — setki razy. — Stasio patrzy na trójkę z minusem i nie myśli o niczym: jego system nerwowy wyczerpał się do dna. Siedzi bezmyślnie i nawet się nie cieszy.

— Przemyski!

Stasio wstaje.

— Dlaczego? — pyta nauczyciel.

Stasio patrzy błagalnie na kolegów.

<sup>5</sup>kajet (daw.) — zeszyt. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>pedel (daw.) — woźny. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>ile — dziś popr.: co. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>bibuła — w czasach, gdy pisano piórem, bibuła służyła do osuszania atramentu. [przypis edytorski]

- *Priewoschodnaja stiepień* — brzęczą ze wszystkich stron klasy.
- *Priewoschodnaja stiepień* — powtarza Stasio.
- *Co priewoschodnaja stiepień?* — pyta nauczyciel, biorąc za pióro.
- *Jat'* — podpowiada klasa zbyt głośno.
- *Jat'* — powtarza Stasio.

Uczeń z pierwszej ławki pokazuje mu na plecach dwa palce. Stasio sam przecież widzi: stoi i widzi, jak nauczyciel odszukuje jego kratkę w dzienniku i stawia powoli i z rozmysłem wyraźną dwójkę.

Piorun z jasnego nieba...

\*

Józio niecierpliwie oczekuje Stasia — sam mu drzwi otworzył i nie pozwalając zdjąć tornistra, zawołał:

- Chodź, to ci coś pokażę.
- Poczekaj, tylko zdejmę kalosze.
- No prędeej. Wiesz: w tym nowym sklepie dodają do każdego kajetu jedną ogromną pieczętkę albo sześć małych — i do wyboru. — A do brulionu dodają łańcuszek.
- Jaki łańcuszek?
- Prawdziwy.
- Kłamiesz.

Józio jest bezgranicznie zadowolony, że udało mu się zainteresować starszego brata swoim wielkim odkryciem.

- O, widzisz: naklejka, bibuła, sześć pieczętek i stalka.
- Ta stalka nic niewarta.
- No to co? A pieczętki ładne?
- Tak sobie.

Józio czuje żal do Stasia: sądził, że go olśni, oszołomi, a tymczasem... Nie wie, biedak, że Stasio ma dwójkę z ruskiego.

- Na obiad. Ludwika, zawołaj dzieci.

Zosia wpada do pokoju. Spóźniła się: była w kuchni, a chciała wiedzieć, co Stasio powie, zobaczywszy bibułę, sześć pieczętek, naklejkę i stalkę dodane do jednego zwyczajnego kajetu.

- No co? — pyta zaciekawiona.
- Stasio, Józio, Zosia na obiad. Ile razy trzeba was wołać?

Mama jest w złym humorze. Ta idiotka Ludwika znów oddała klucz od góry, a przecież wiedziała doskonale, że w środę ma być pranie. Mamę<sup>9</sup> to nic nie obchodzi: niech sobie na nosie wiesza bieliznę, kiedy taka mądra. — Mama już z nią dłużej nie może wytrzymać. Do latania ma rozum, a do roboty — zupełne cielę — i w dodatku leniwe. Od pierwszego może sobie szukać miejsca. I tatuś znów się spóźnił, a później będzie się krzywił. Niech się krzywi: mamę to nic a nic nie obchodzi.

Zosia nasłuchiwała się tego wszystkiego w kuchni. Zły humor mamy i jej się udzielił.

- Stasiu, nie kop się.
- Stasio trącił ją nogą niechcący. Ale kiedy tak, to już naumyślnie ją kopnie.
- Mamo, Stasio się kopie.
- Wstydzilibyś się: taki stary chłop, a nie umie przy stole siedzieć.

I Stasiowi przychodzi do głowy, co by mama powiedziała, gdyby przy złym humorze wiedziała jeszcze o dwójce. Zamiast: „wstydzilibyś się”, byłoby: „Stasio, jak jeszcze raz ją ruszysz, to pójdziesz precz od stołu”. I to jakim głosem!

\*

Taka otrzymana w poniedziałek dwójka podobna jest do wielkiej muchy naprzykrzonej i do kleksa na bibule. Jak mucha brzęczy ona, płącze się w każdej myśli, przy każdej sposobności i jak kleks na bibule rozlewa się i rozrasta, coraz większa i większa, rośnie

<sup>9</sup>mamę to nic nie obchodzi — dziś popr.: mamy to nic nie obchodzi. [przypis edytorski]

przez cały tydzień. — Gdyby to można od razu powiedzieć mamie: „dostałem dwójkę”, i już się pozbyć. Tak byłoby lepiej: a przecież Stasio tak nie robi. I w sobotę nic nie mówi, chowa dziennik, aby nie psuć sobie niedzieli. Nie dał dziennika, w poniedziałek odda. Ale niedziela zepsuta i tak. — Stasio już w niedzielę musi być spokojniejszy, już nie ośmieli się ani prosić o nic, ani uderzyć Józia albo Zosi; bo wie, że zawinił, i gdyby rodzice uważniej mu się przyjrżeli, toby mogli sami zauważyć: zamknie się w pokoju i niby się uczy — nie śmie czytać otwarcie pożyczonej książki.

Taka otrzymana w poniedziałek dwójka odbiera mu ochotę, odwagę, wiarę w siebie, chęć do pracy. Po co się uczyć, kiedy i tak ma już dwójkę i nic go nie ocali od gniewu rodziców. Choćby mu się udało nawet dostać czwórkę, to dwójka zawsze ją zasłoni.

I Stasio wie dobrze, że jeśli w poniedziałek dostanie dwójkę, to nigdy się na jednej nie skończy; zawsze w takim tygodniu we wszystkim gorzej się wiedzie.

I kiedy we wtorek wyrwał go nauczyciel do tablicy, Stasio prawie był pewny, że dostanie dwójkę, z góry wiedział, że da mu właśnie takie zadanie, gdzie<sup>10</sup> będzie dzielenie i mnożenie ułamków, i że się pomyli.

Wczoraj korepetytor znów mu tłumaczył, że jeżeli cztery pomnożyć przez pół, to będzie dwa, a jeżeli rozdzielić, to osiem. Była chwila, kiedy naprężył uwagę i zdawało mu się, że zaczyna rozumieć. Ale przyszło mu na myśl, że w takim razie zamiast tej całej plątaniny można zamiast dzielić — mnożyć, i odwrotnie, i powiedział to korepetytorowi. Korepetytor zaczął krzyczeć, że arytmetykę mądrzejsi od niego ludzie wymyślili i że Stasio jest leni, że zamiast pomyśleć<sup>11</sup> trochę, woli wynajdywać sposoby, żeby nie potrzebował wcale myśleć, że arytmetyka jest głupstwo w porównaniu z algebrą, że jeżeli nie może zrozumieć głupiego mnożenia ułamków, to niech się lepiej pożegna z gimnazjum.

Stasio sam wie o tym. Raz podczas pauzy stanął we drzwiach<sup>12</sup> piątej klasy i słuchał, jak jeden drugiemu objaśniał geometrię i rysował koła na tablicy. Stasio wrócił do swojej klasy i próbował narysować koło: wyszedł jakiś kulfon krzywy. I nic dziwnego: jak można bez kratek narysować równe koło i żeby było równiusieńkie, bo inaczej nic nie wyjdzie, a w kole trzeba narysować jeszcze z dziesięć rozmaitych linii i żeby wszystko dokładnie się schodziło. Stasio już wtedy zrozumiał, że nie skończy nigdy gimnazjum. Sam widok grubych książek, wypchanych tornistrów odbierał mu całą odwagę. A egzaminy: w czwartej klasie z całych czterech klas: ile to samych wierszy tylko się nazbiera. A czy on pamięta choć jeden z tych wierszy, których się uczył przed dwoma laty?

Albo te ułamki. Wczoraj była już chwila, kiedy zaczął rozumieć. I teraz, żeby mu dali się namyśleć, toby może zrobił. Bo jeżeli mu się zostało pięć siódmych pieniędzy i to było 35 rubli, to on wie, że musiał mieć więcej przedtem. Zaplątało go tylko, że chce dostać więcej i nagle ma dzielić. Sam korepetytor przestraszył go od razu tymi iksami. Iksów Stasio zupełnie nie rozumie.

Nie matrzy go nawet ta dwójka. Do dzwonka zostało trzy kwadransy, może sobie przynajmniej spokojnie siedzieć, że go nie wyrwą. — Jedna czy dwie dwójki, wszystko jedno; tak czy tak będzie mama krzyczała, a tatko będzie prawil morały:

— Ja pracuję ciężko, jesteś złym synem.

Wszystko mu jedno.

Stankiewicz robi zadanie, pisze, wyciera, płacze się, chce się wykręcić od dwójki. — Stasio przygląda mu się obojętnie, nawet z pewnym zaciekawieniem, nawet z pewnym zadowoleniem: już przeżył to, co tamten ma dopiero przed sobą.

\*

Godzina piąta. Muzyka.

Stasio nienawidzi muzyki. Geografii, ułamków i gramatyki uczą się wszyscy, których Stasio zna; bez tego nie można dostać promocji. Ale on jest nieszczęśliwszy od nich o całą muzykę.

<sup>10</sup>gdzie — dziś popr.: w którym. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>pomyśleć — dziś popr.: pomyśleć. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>we drzwiach — dziś popr.: w drzwiach. [przypis edytorski]

Tatuś mówi, że muzyka — to zawracanie głowy, a mama — że strata pieniędzy. A mimo to każą trzy razy na tydzień brzdąkać po godzinie z panią i codziennie — samemu. A kiedy wieczorem uwolni się od lekcji, słyszy zaraz:

— Stasiu, idź grać.

Czasem Stasiowi żal nauczycielki: ona niewinna, że przychodzi — bo musi; a czasem na złość jej robi i pięć razy z rzędu bierze krzyżyk po kasowniku. Bo dlaczego się ciągle skarży na niego? A on ma przecież jeszcze gimnazjum!

I po co, kiedy mu wcale muzyka niepotrzebna?

Siedź i graj tu, jak masz dwie dwójki na ten tydzień, a jutro klasowe zadanie; wesoło, nie ma co mówić.

— Stasiu, uważaj.

— Ja uważam.

— Stasiu, dlaczego ty mnie tak męczysz?

Nauczycielka powiedziała to smutnym, łagodnym głosem. Stasio drgnął. Biedna. — Stasio z trudem powstrzymuje łzy.

— Teraz bez błędu zagrasz. No co — dobrze: bez błędu?

Stasio nie odpowiada.

I zagrał bez błędu.

\*

„Dopiero dwa dni przeszły” — myśli Stasio, leżąc w łóżku. — Dopiero dwa dni, a co on już przeżył w tym tygodniu. Jeszcze środa, czwartek, piątek, sobota. Co go jeszcze czeka? Jutro klasówka; jeżeli nie zrobi zadania, będzie to już dwójka na przyszły tydzień, po tygodniu z dwiema dwójkami będzie znów tydzień z dwójką.

Boże, jak ciężko, jak strasznie.

Stasio patrzy na lampę przed obrazem i wzdycha.

Dlaczego Bóg, który jest Wszechmocny, nie pomoże mu w jego ciężkiej doli? Gdyby on, Stasio, był Bogiem... Ale grzech tak myśleć, a grzeszyć nie wolno w wilię<sup>13</sup> zadania... Gdyby tak móc wiedzieć, co będzie jutro, albo tylko — co będzie za godzinę. Można by tak łatwo być pierwszym uczniem. Stasio nie chce być pierwszym uczniem. — Pierwszy uczeń zarozumiały i nikt go nie lubi. Ale chciałby mieć trójki, żeby móc się nie bać ciągle.

Zrobił dzisiaj pięć zadań z korepetytorem; żeby tak było jedno z tych właśnie. Byłaby już czwórka na przyszły tydzień — dzisiejsza dwójka byłaby pokryta.

Dwójki dzielą się na niebezpieczne i nie niebezpieczne. — Idzie przecież o to, żeby na kwartał nie wypadła dwójka. Z ruskiego ma już cztery trójki i dwie dwójki. Więc go wyrwie jeszcze na poprawkę, nie jest znów taki straszny, tylko mu czasem fantazja do głowy przyjdzie. Z arytmetyki gorzej, ale też może się jeszcze poprawić.

Jacy szczęśliwi ci uczniowie, którzy dzienników wcale rodzicom nie pokazują — takich jest dwóch, o których Stasio wie. Nikt się nimi nie interesuje, nikt na nich nie krzyczy. Albo ci, którzy mieszkają na wsi — i tylko na święta jeżdżą do domu. — Rogalski jest drugoroczny, a ma własnego kuca w domu — i nic go nie obchodzi.

Tylko jemu, Stasiowi, zatruwają życie.

Taki żal czuje Stasio do tych wszystkich, którzy go dręczą.

Dlaczego, jak jemu się powiedzie, rodzice są dla niego dobrzy? Mama pozwala mu i czytać, i drażnić się z Józiem, i rano tak nie krzyczy, żeby wstał, i do grania go nie pędzi, a tatuś bierze do cyrku albo dorożką. — A jak mu się nie szczęści, to wszyscy zaraz na niego. — Przecież on umie to samo; bo oprócz pierwszych pięciu albo sześciu uczniów reszta wszyscy żyją tak jak on. Jak go wyrwą z tego, co umie, dostaje dobry stopień, albo jak nauczyciel jest w dobrym humorze, albo jak mu się uda ściągnąć, albo jakiś inny przypadek. — Jeżeli na przykład jutro będzie jedno z tych zadań, które dziś robił z korepetytorem, to dostanie czwórkę — i czy to będzie jego zasługa? Akurat tak się trafi.

Stasio umówi się z Goldszternem tak, że jak się weźmie za prawe ucho, to trzeba pomnożyć, a jak za lewe, rozdzielić. — Stasio już niby rozumie, ale się boi ryzykować, bo może w ostatniej chwili pomylić się z przestrawu i w pośpiechu.

<sup>13</sup>wilia (daw.) — dzień poprzedzający ważne wydarzenie, tu: klasówkę. [przypis edytorski]

Raz Stasio dostał czwórkę z geografii; umiał akurat do jednego miejsca, a dalej nic a nic. I kiedy powiedział wszystko, co umiał, nauczyciel posadził go na miejsce i postawił czwórkę, a tak to by dostał dwójkę za to samo.

Tak będzie najlepiej: za prawe ucho — pomnożyć, a za lewe — rozdzielić. A jeżeli prędko zrobi, to niby pójdzie z papierem do kosza — i rzuci mu kartkę. Potem Stasio opuści niby pióro, nachyli się i podniesie kartkę. Chociaż to niebezpieczne.

Dziwak jest ten arytmetyk: czasem tak pilnuje, że się ruszyć nie pozwoli, a czasem nie uważa i można robić, co się chce. I każdy z nich — jak chce, to zawsze może postawić dwójkę — oprócz pierwszego ucznia. Są tacy w klasie, których lubią, to żeby nie wiem co, nie postawi mu dwójki. A o lizuchach i tych, których rodzice dają łapówki — nie ma co mówić. — Pawelkiewicz także nie mógł zrobić zadania — odpowiadał już z dziesięć minut, jak był dzwonek. A on co: „no, na drugi raz jeszcze się spytam”. I nie postawił stopnia.

A gdyby to był Stasio...

Stasio wzdycha.

— Boże, wielki i dobry Boże, daj, żebym jutro zrobił zadanie. Bo chcę przynajmniej w przyszłym tygodniu już nie mieć dwójki. — A on przynosi kajety po tygodniu, w śróde — objaśnia Stasio Bogu porządki szkolne.

Dziwny spokój ogarnia Stasia. Oczy mu się mrużą — myśli się płaczą, modlitwa miesza się z ostatnimi troskliwymi<sup>14</sup> rozmyślaniami — i Stasio zasypia, powtarzając:

— Prawe ucho — mnożenie, lewe — dzielenie.

\*

Stasio zatrzymał się przed nowym sklepem. — Jutro albo nawet dziś jeszcze kupi nowy kajet i obejrzy łańcuszki, które dodają do brulionów. — Może zamiast łańcuszka można dostać maszynkę do temperowania ołówków albo dopłacić i wziąć scyzoryk? — Tak, dzisiaj kupi Stasio nowy kajet i dowie się o wszystkim dokładnie.

Rozgląda się po ulicy: idą jeszcze malcy; to znaczy, że wcześniej.

I nagle przypomina sobie klasowe zadanie na pierwszej lekcji. Trzeba się spieszyć — umówić — rozmówić — porozumieć z kolegami: — wymaga to zawsze kilkunastu minut. — Zrobi czy nie zrobi?

— Jeżeli spotkam tę dziewczynkę w żałobie, to będzie dobrze.

Dziewczynka w żałobie chodzi na pensję, spotyka ją prawie codziennie. — Stasio czuje dla niej<sup>15</sup> wiele sympatii i współczucia, pewien szacunek i odrobinę zazdrości. Taka mała, pewnie z wstępanej klasy, i już w żałobie.

Raz Stasio, kiedy leżał w łóżku wieczorem, myślał sobie, że jest trochę starszy, na przykład w piątej klasie, że nie ma rodziców, a dziewczynka w żałobie jest sierotą i on ją wychowuje. Czytał gdzieś coś podobnego w książce dla młodzieży. — Gdyby się zwierzył któremu z kolegów, to zaraz by powiedzieli, że się w niej kocha, i nazywaliby ją jego facetką. — Stasio nawet przyjacielowi nic nigdy nie mówi, bo potem się z nim pokłóci albo co — i ten wszystko wypaple i potem się śmieją.

Prawdziwego przyjaciela Stasio nie ma.

„Jeżeli ją spotkam, to zrobię zadanie” — myśli i pragnie ją spotkać, rozgląda się, idzie wolniej, coraz wolniej.

I ze złym przeczuciem przestąpił próg szkoły.

Już na schodach krzyknął mu triumfująco kolega:

— Chodź prędeż. Wiemy, które będzie zadanie.

W klasie nastrój świąteczny.

— Masz, przepisuj prędko.

Stasio wrywa kartkę z brulionu.

— Prędeż!

Z uderzeniem drugiego dzwonka robota skończona.

— A skąd wiecie, że to akurat zadanie będzie?

<sup>14</sup>troskliwy — tu: pełny troski. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>czuje dla niej wiele sympatii — dziś popr.: czuje do niej wiele sympatii. [przypis edytorski]



Rzecz w tym, że nauczyciel przerabiał z klasą zadania na cztery działania i zrobił wszystkie po kolei od 370. do czterysta piętego, tylko jedno zadanie przepuścił. Naturalnie, że to jedno właśnie zostawił na dzisiejszą klasówkę.

Każda klasa i każdy uczeń z osobna skłonni są myśleć, że nauczyciel nimi się tylko zajmuje.

Nauczyciel o tym tylko myśli, jakby ich podejść, oszukać, złapać, zaszkodzić. Uczniowie nie pozostają mu dłużni. Klasa i nauczyciel to dwa nieprzyjacielskie obozy, walczące na śmierć i życie. — Jeżeli umiesz lekcję i chcesz wydawać<sup>16</sup>, to kryj się, patrz często na zegarek, udawaj przestraszonego; jeżeli nie umiesz, udawaj, że chcesz odpowiadać, a na pewno nie wyrwie.

Ale trzeba umieć to robić tak, aby się udawało. Stasio nie umie...

Arytmetyk wszedł do klasy. Chwila niemego oczekiwania. Czterdzieści serc drży w niepewności. — Nauczyciel odnotował nieobecnych — rozgląda się, widzi rozłożone kajety, uroczyste twarze dzieci — i mówi niby od niechcenia:

— Ach tak: klasowe zadanie.

Rozejrzał się po katedrze. — Dyżurny uniósł się, aby na pierwsze skinienie podać zadacznik<sup>17</sup>. — Ale, o zgrozo, nauczyciel wyjmując z kieszeni od kamizelki jakiś kawałek papieru — coś napisał — zanotował i począł dyktować zadanie z głowy.

Oszukał. — Wszystko było z góry uplanowane, jeszcze na wiele dni przed klasówką. Naumyślnie wtedy przepuścił jedno zadanie. Że tak jest właśnie, nikt ani na chwilę nie wątpi, Stasio pisze jak we śnie. Zapomniał poprosić Goldszterna, aby się pociągnął za ucho, dziewczynki w żałobie nie spotkał — zgubiony bezpowrotnie...

Zadanie trudne, a może i nie trudne, tylko klasa, zawiedziona w nadziejach, składa pokornie oręż. Pogrom zamiast oczekiwanego zwycięstwa, upadek zamiast triumfu.

Stasio widzi wokoło twarze zafrasowane. Prócz trzech czy czterech nieustraszonych reszta gryzie bezradnie pióra, marszczy brwi, szepcze trwożnie.

— Nie rozmawiać!

Stasio nie ma odwagi nawet przeczytać zadania, nie może zebrać rozpierzchłych myśli, ponad którymi góruje jedna:

„Oszukał”.

W klasie powietrze staje się ciężkie od wyziewów wilgotnego obuwia. Minuty wloką się z miazdzącą powolnością.

— Zostało dwadzieścia minut — mówi nauczyciel.

Niektórzy wodzą suchymi piórami, byle nie zwracać na siebie uwagi nauczyciela, w nadziei że w ostatniej chwili uda im się od kogoś przepisać; inni kreślą bezładnie, coraz przekreślając i zaczynając na nowo coraz śpieszniej i bezkrytyczniej; jeszcze inni tworzą jakieś fantastyczne kombinacje, z dziwnym uporem rzucają szeregi cyfr, nie zwracając uwagi na widoczne błędy — byle dojść do ostatniego działania.

Stasio nie należy do żadnej z tych trzech grup. Zrobił trzy działania, przy czwartym wypadło mu, że wódz stracił w drugiej bitwie siedemnaście i pięć dziewiętych żołnierza — więc przekreślił ostatnie działanie i czekał. Patrzy na nieruchome pióro sąsiada i mroczną twarz Goldszterna — i już z zupełną rezygnacją oczekuje dzwonka.

— No dosyć — będzie już!

Niektórzy ociągają się jeszcze z podaniem kajetu. Stasio przykłada bibułę, choć stronica wyschła już dawno.

Trzech zrobiło zadanie, dwóch ściągnęło do połowy. — Stasio postanawia powiedzieć w domu, że nie rozwiązał zadania, aby z góry uprzedzić o dwojce w przyszłym tygodniu.

\*

— Nasz Stasio, proszę pana, nie zrobił zadania.

Korepetytor ma minę zakłopotaną. Stasio strasznie nie lubi, jak mama robi uwagi korepetytorowi. Bo co on winien?

— Tylko trzech zrobiło — wtrąca nieśmiało.

<sup>16</sup>wydawać (daw.) — tu: odpowiadać. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>zadacznik (z ros.) — zbiór zadań. [przypis edytorski]

— Ty zawsze zapatrujesz się<sup>18</sup> na nieuków i leniów — mówi mama. — Jeżeli trzech zrobiło, to ty mogłeś być czwartym, który zrobił.

— Jak było takie trudne — zaczyna Stasio, ale przypomina sobie dwie dwójki i milczenie.

— Myśmy, proszę pani, przerabiali wczoraj zadania — mówi korepetytor, skubiąc górną wargę.

— Wczoraj to za mało, trzeba co dzień robić z nim zadania.

I mama wychodzi zagniewana.

Chwila przykrego milczenia.

— I cóż to było za zadanie? — pyta korepetytor.

Stasio nie pamięta. — Niektórzy uczniowie zaraz na pauzie zaczęli się kłócić, kto dobrze zrobił i jak trzeba było robić — przerabiali je na tablicy — przepisywali na kartkach. — I co im z tego mogło przyjść, kiedy i tak wszystko przepadło?

„Czy starego Indianina złapali i zabili, czy też udało mu się uciec?” — Stasio przed przyjściem korepetytora czytał. — Żeby to mama wiedziała!

— Jak to, godzinę siedziałeś nad zadaniem i nic nie pamiętasz?

„Żeby on się już wyniósł!” — myśli Stasio — i przypomina sobie, że to dziś środa i zaraz przyjdzie niemka<sup>19</sup>.

— Daj zadacznik.

— Jutro nie ma arytmetyki — broni się Stasio.

— Nie pytam się ciebie. Dawaj zadacznik.

I Stasio poczuł nagły przypływ zawziętego gniewu.

— Niech mi pan wytłumaczy, kiedy się mnoży i kiedy dzieli; tylko bez iksów.

I po upływie kilku minut rozumie wszystko, rozwiązuje szybko cztery zadania, przypomina sobie dzisiejszą klasówkę i ku własnemu zdumieniu przekonywa<sup>20</sup> się, że była łatwa.

— I nie lepiej to było wczoraj uważać? — pyta z wyrzutem nauczyciel.

Stasio sam wie, że lepiej; ale dlaczego tylko trzech zrobiło?

Po lekcji bierze dziennik i zapisuje zadane lekcje na cały tydzień.

Czwartek: niemiecki. Tłumaczenie § 23. Kaligrafia — w klasie. — Ruski. — Opowiadanie § 49. — Religia § 58. — Śpiewy. — W klasie. — I czego tu się uczyć?

Chciał dziś nie czytać, tylko się uczyć; kiedy nie ma czego. — I wyjął swego Indianina z szuflady.

Na niemieckim był nieznośny. Nauczycielka chciała już iść na skargę. — Boże, co by to było!...

\*

Uczniowie klas wyższych zadają sobie pytanie, skąd w gimnazjum wiedzą zawsze, kiedy ma przybyć na rewizję: inspektor szkół, pomocnik kuratora lub sam kurator.

A jednak wiedzą.

Niezwykły wygląd przybiera wówczas szkoła.

Dyżurni w niższych klasach otrzymują dyktaturę. Nie daj Boże, aby dyżurny poskarżył się, że ktoś nie chce podnieść papierka, narysował coś na tablicy lub w ogóle — „szumi”<sup>21</sup>. — Pedlowie z odświętnymi minami chodzą po korytarzach: — coś w rodzaju wzmocnionej ochrony — w powietrzu atmosfera napięcia — jakby w oczekiwaniu ataku czy oblężenia — czy sądów wojennych.

Malcy cieszą się powściągliwie: dla nich to różnorodność w nieznośnie nudnym, jednostajnym życiu, coś pośredniego między galówką a przeprowadzką. Dwa wrogie obozy, uczniowie i nauczyciele klas wyższych, łączą się na czas pewien dla zwalczania wspólnego, silniejszego wroga. Cała szkoła żyje teraz jedną myślą, jednym uczuciem, które streszcza się w wyrazie:

— Władza!

<sup>18</sup>zapatrywać się — tu: oglądać się, porównywać się. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>niemka — tu pot.: nauczycielka niemieckiego. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>przekonywa — dziś popr.: przekonuje. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>szumi — po rosyjsku: hałasuje. [przypis autorski]

Nawet ci, którzy mogliby się nie wzruszać, doznają pewnego dreszczyku: a nuż... a nuż nielaska — co wtedy?

— Czy u wszystkich są halsztuki<sup>22</sup>? Czy wszyscy mają paski? Kto jest bez guzika? — Jeżeli kto ma jaką „postronną” książkę, niech odda. — Kto umie lekcję? — Powtórzyc chronologię!

Stuk kół o bruk uliczny. — Jedzie — nie jedzie — jedzie. — Nie. — Głowy zwracają się ku oknu.

— Uważać, nie rozglądać się — upomina nauczyciel głosem nad wyraz łagodnym.

— Jest. Teraz już jest.

Teraz pewnie woźny, przybrany w nową liberię z błyszczącymi guzami<sup>23</sup>, stary Mikolajewski weteran — otwiera mu drzwi. — Teraz pewnie dyrektor go spotyka — podaje mu rękę. — Szmer.

Idzie przez korytarz. Wszedł do piątej klasy.

Nauczyciel kaligrafii poprzesał uczniów.

Dlaczego to zrobił, sam z trudnością umiałby odpowiedzieć. — Na pierwszych ławkach<sup>24</sup> posadził tych, którzy mieli nowe bluzy i czyste kołnierzyki. — Uległ ogólnemu prądowi, niech i tu nawet będzie wszystko wzorowo.

I Stasio okazał się na pierwszej ławce.

Idzie. — Był w piątej klasie na rosyjskim, w ósmej na historii, w trzeciej na arytmetyce, teraz wszedł do klasy Stasia podczas kaligrafii.

— Kaligrafia?

Odpowiedzią był niski ukłon.

— Siadajcie — zwrócił się do chłopców. — Nie przeszkadzajcie sobie. — Nauczycielowi podał rękę.

„Jezu, co orderów” — pomyślał Stasio.

— Raaz, dwa — raaz, dwa — liczy pierwszy uczeń, a klasa w takt pisze.

— Okna otwieracie podczas pauzy?

Kurator od tego pytania zaczyna wizytację każdej klasy — w myśl zasady: *mens sana in corpore sano*<sup>25</sup>.

— Raaz, dwa — liczy, może zbyt głośno, pierwszy uczeń.

Postanowione było, aby liczył<sup>26</sup> pierwszy albo drugi uczeń.

Kurator nachylił się nad kajetem Stasia.

— Wstań — rozkazał nauczyciel.

Stasio wstał.

— Źle trzymasz pióro. Pióro tak należy trzymać przy pisaniu. — Pan powinien zwracać *surową* uwagę na to, aby uczniowie prawidłowo trzymali pióra.

Miała to być ostatnia uwaga, po której dygnitarz chciał opuścić gmach szkolny, aby na pierwszą zdążyć do domu na śniadanie.

— Ja właśnie dlatego sadam go na pierwszej ławce, że źle trzyma pióro — powiedział kaligraf.

Było to tylko pokorne usprawiedliwienie, władza wzięła to za zuchwalstwo. Odpowiedź można było uważać za: „pracuję sumiennie nad powierzoną mej pieczy działalnością”, zarówno jak i: „wiem, jak należy trzymać pióro i bez pańskich uwag”. — Słuchać i nie rozumować — zasadzie tej nauczyciel się sprzeniewierzył i otrzymał zasłużoną karę.

Kurator lekko się zarumienił i wskazując palcem na drugą i trzecią ławkę — powiedział twardo.

— Ci nie siedzą na pierwszej ławce<sup>27</sup>, a palce *obrzydliwie* trzymają.

I spojrzawszy na zegarek, wyszedł bez pożegnania.

„Surową — olbrzydliwie” — *strogoje* — *oturatitielno*. — Stasio czuł zwisającą nad jego głową burzę.

Stuk kół wskazał, że władza odjechała.

<sup>22</sup>halsztuki — krawaty czarne, zakrywające szyję, obowiązkowe w szkołach rosyjskich. [przypis autorski]

<sup>23</sup>guzy — tu: guziki. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>na pierwszych ławkach — dziś popr.: w pierwszych ławkach. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*mens sana in corpore sano* (łac.) — w zdrowym ciele zdrowy duch. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>aby liczył — dziś popr.: że będzie liczył. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>na pierwszej ławce — dziś popr.: w pierwszej ławce. [przypis edytorski]

— Osioł — huknął nauczyciel. — Bałwan! I jeszcze pcha się na pierwszą ławkę!  
— Pan sam mnie posadził — mówi Stasio.  
— Milczec! — Na ostatniej ławce<sup>28</sup> będziesz siedział na moich lekcjach. — Popamiętasz ty mnie. Marsz! — Łapy wam poobijam — zwrócił się już do całej klasy. — Bydło!

Stasio wziął kajet i pióro i poszedł na ostatnią ławkę<sup>29</sup>.

Stasio, jak i cała klasa, pogardzają<sup>30</sup> nauczycielem kaligrafii. — Daje<sup>31</sup> tylko do trzeciej klasy, zostawić na drugi rok nie może; ale owo: „popamiętasz ty mnie”... A jak powie dyrektorowi, co wtedy? — A nauczyciel w kratce — Przemyski — postawił cztery grube pałki: z przedmiotu, uwagi, pilności i sprawowania.

Koledzy patrzą na Stasia ze współczuciem: to, co jego spotkało, mogło spotkać każdego z nich. — Biedny Przemyski. — Podczas pauzy będą o nim mówili w *uczucielskiej*<sup>32</sup> — całe gimnazjum, wszyscy się dowiedzą — i będą się mścili.

„Co za straszny, straszny, straszny tydzień” — myśli Stasio.

— Pójdziemy razem, dobrze? — proponuje Kowalski.

— Wszystko mi jedno — odpowiada Stasio.

Kowalski nie czuje się urażony szorstką odpowiedzią Stasia. Wie, że Przemyski go lubi, ale jest zły, bo ma zmartwienie.

— Daj, zapnę ci *raniec*<sup>33</sup> — mówi łagodnie.

Stasia rozbraja jego dobroć. — Wychodzą razem na ulicę. — Kowalski będzie go pocieszał — i Stasio się rozerwie — zapomni. — Co to ważnego: kaligrafia?

Przyczepił się do nich Malinowski. Dali mu odprawę, ale Malinowski nie ma ambicji i czepia się ich natrętnie.

— Idź sobie.

— Zabronisz mi chodzić po ulicy?

Zwalniają kroku — Malinowski też samo.

— Dobrze, łaź za nami. — Ogon! — Pies. Chodź tu — na — na!

Malinowski wie, że w ten sposób chcą go się pozbyć — więc postanawia rozłościć ich jeszcze bardziej.

— Przejdźmy na drugą stronę — proponuje Kowalski.

— Poczekajcie: ja jutro dyżurny, to się wam odplacę — krzyczy w ślad Malinowski.

— Dobrze, odpląć!

Chwilę idą w milczeniu. Jakby tu zacząć, aby nie urazić przyjaciela?

— Słuchaj, Przemyski, przecież on ci nic nie może zrobić — czego ty się go boisz?

— Nie boję się wcale, tylko się będzie ciągle przyczepiał.

— A ja ci mówię, że za tydzień o wszystkim zapomni.

— A jakże, zapomni, jak ja będę siedział na ostatniej ławce<sup>34</sup>.

— Toteż nie siadaj. Jak ci co<sup>35</sup> powie, to mu powiesz, że jesteś *blizoruki*<sup>36</sup> — i już.

— A on pewnie już naszczekał na mnie.

— A ja ci mówię, że nie. On sam się boi dyrka.

— Więc po co mi cztery pałki postawił?

— Toteż go poproś, żeby przekreślił.

Stasio nie odpowiada. Bo oto naprzeciw idzie dziewczynka w żałobie. Zawsze chodzi po tamtej stronie ulicy, a dzisiaj po tej akurat. Opowiada coś koleżance i śmieją się. — Może jej tylko babka umarła, bo inaczej jakżeby ona mogła się śmiać? Spojrzy na Stasia czy nie spojrzy? — Spojrzała. — Potem coś powiedziała koleżance, pewnie o Stasiu, bo obejrzały się i zaczęły się śmiać. — Może poznała, że płakał? Choć on właściwie nie płakał, tylko lzy miał w oczach, a od tego oczy nie puchną.

— Co? — pyta Stasio.

<sup>28</sup>na ostatniej ławce — dziś popr.: w ostatniej ławce. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>na ostatnią ławkę — dziś popr.: do ostatniej ławki. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>pogardzają — dziś popr.: pogardza. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>daje — tu w zn.: uczy. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>w *uczucielskiej* (ros.) — w gabinecie profesorskim. [przypis autorski]

<sup>33</sup>raniec — tornister. [przypis autorski]

<sup>34</sup>na ostatniej ławce — dziś popr.: w ostatniej ławce. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>co — tu dziś popr.: coś. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>blizoruki (ros.) — krótkowidz. [przypis autorski]

— Poproś go, żeby przekreślił.  
 — Ja tam nie będę prosił.  
 — Co ci to szkodzi?  
 — Bo nie chcę. — Patrz, jaka to świnia. Sam przecież mnie posadził, jemu powiedział, że naumyślnie, a potem wrzeszczy. — Jakbym go prosił.  
 Stasio uspakaja<sup>37</sup> się pod wpływem rozmowy.  
 — Czy ta duża gwiazda, co miał przy orderach, to także order? — pyta kolegi.  
 — Chyba, że order.  
 — Czy jak on przychodzi do gimnazjum, to musi być w orderach?  
 — Eee, chyba nie — tylko tak, żeby się pochwalić.  
 — A może musi?  
 — A kto jemu może kazać?  
 Prawda: kto jemu może kazać — jemu, którego boi się nawet dyrektor?  
 — Dlaczego on wszedł do nas sam, a nie z dyrektorem?  
 — Dyrek chciał z nim iść, ale on nie chciał.  
 — Bo dyrek miał lekcję akurat w piątej klasie.  
 — A skąd wiesz?  
 — W *szynelni*<sup>38</sup> jeden uczeń mówił... A wiesz, że lepiej, że dyrka nie było?  
 — Pewnie, że lepiej. Jeszcze by co i jemu powiedział.  
 Żegnają się na rogu ulicy i rozchodzą.  
 Stasio wstępuje do nowego sklepu po kajet.  
 — Proszę mi pokazać te łańcuszki, co się dodaje do brulionu.  
 — O, proszę pana. Prawda, że ładny? Niech pan pociągnie, jak pan tylko chce; nie urwie się — taki mocny.  
 Stasio nie lubi, jak mu mówią: pan — bo mu się zdaje, że się z niego śmieją.  
 Bierze kajet i wychodzi.  
 I po co mu właściwie łańcuszek? Przecież nie będzie nosił zegarka na dwóch łańcuszkach...

\*

Mama włożyła nową suknię, którą mamie krawcowa zepsuła i były dwie poprawki. Krawcowa była w dodatku niegrzeczna. Mama nie będzie do niej więcej dawała ani jej nikomu rekomendować nie będzie.

Mama wybiera się z tatusiem na koncert, na który już nie było biletów i tatuś ledwo dwa bilety dostał od przekupnia. Ciocia chciała, żeby i dla niej kupić, ale nie było. Ciocia ma dziką pretensję, a tatuś nie ma obowiązku kupować dla całego świata.

Ludwika ma pilnować, żeby Stasio grał na fortepianie i żeby dzieci o dziesiątej najpóźniej poszły spać. Jak nauczycielka muzyki powie, że Stasio znów nowej sztuczki nie umiał, to mama się z nim na serio rozprawi. — Dzieci mają nie hałasować i nie rysować podłogi; lampa żeby nie filowała<sup>39</sup>, Stasio żeby się nie drażnił z Józkiem, a Zosia, jak ruszy co<sup>40</sup> z toalety<sup>41</sup>, to dostanie w skórę. — Nikomu nie otwierać nawet przez łańcuch, a Ludwika żeby się na krok nie ważyła ruszyć z mieszkania. — Czy Stasio umie lekcje?

Mama i tatuś wychodzą na cały wieczór — jest to wielkie święto dla dzieci. Nikt im nie przeszkadza w zabawie, czasem i Ludwika bierze udział w grze lub bajki opowiada. Józio i Zosia słuchają bajek z przejęciem, z namaszczeniem, a Stasio niby obojętnie, ale i on lubi słuchać. Najgłówniejsze to, że są sami i mogą robić, co chcą.

Mama włożyła rękawiczki, a tatusia nie ma. — Dzieci kończą kolację.

Zosia wbiła widelec w skórę od chleba i wyciera talerz z resztek masła i okruszków kotleta.

— Patrz, szciotkę zrobiłam z chleba.

„Oślica” — myśli Stasio.

<sup>37</sup> *uspakaja* — dziś popr.: uspokaja. [przypis edytorski]

<sup>38</sup> *szynelnia* — garderoba. [przypis autorski]

<sup>39</sup> *filować* (daw.) — kopcić. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *co* — tu dziś popr.: coś. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> *toaleta* — tu: toaletka. [przypis edytorski]

Józio także zrobił szczotkę z widelca i chleba.  
— Już po mnie małpujesz — mówi Zosia.  
Mama i dzieci niecierpliwą się.  
„Żeby już sobie poszli” — myśli Stasio.  
Zgrzyt klucza. Tatuś przyszedł.  
— Tylko nikomu nie otwierać. Lampa żeby nie filowała. Ludwika niech nie wychodzi.  
— Bądźcie grzeczni.  
Dzieci zostały same. Nie wiedzą, czemu, ale dziś mniej się jakoś cieszą niż zwykle. Stasio jeden wie tylko, ale nie powie. — Dzisiejsza awantura z kaligrafem i dwie dwójki. Niezrobionego zadania Stasio nie liczy, bo powiedział już mamie, że nie zrobił.  
Józio przerysowuje obrazek z „Przyjaciela”, Stasio czyta kradzieże w kurierku<sup>42</sup> — to dobre na zwyczajny wieczór, ale nie kiedy mamy nie ma. Zosia chce dać hasło do zabawy.  
— Wiecie, że jak wejść do studni, to można w dzień widzieć gwiazdy.  
— A jakże — zauważa ironicznie Józio.  
— Nie — a jakże, bo pani mówiła.  
— Twoja pani tyle wie, co zje.  
— Żebyś ty wiedział tyle, co pani.  
— Wszystkie baby nic nie wiedzą — mówi Józio, któremu udzielił się smutny nastrój Stasia.  
— A mamusia także jest baba, to mamusia także nic nie wie. — Dobrze... dobrze...  
Rozmowa się nie klei; Zosia się nie zraża.  
— A jak patrzeć na błyskawicę, to się oślepnie.  
— To ci także mówiła pani? — pyta Stasio, który już skończył drobne wiadomości w kurierku.  
— Nie, to ja sama wiedziałam.  
Do pokoju wchodzi Ludwika.  
— Stasiu, pani powiedziała, żeby Stasio grał... Niech Stasio rzuci kuriera, bo tam nic mądrego nie ma dla Stasia.  
— Jak Ludwika nie umie czytać, to Ludwika nie wie, czy mądre, czy głupie.  
— Nie umiem, bo mnie nie uczyli — mówi Ludwika.  
I Stasio żałuje, że jej tak powiedział. — Ludwika opowiadała im raz, kiedy mamy nie było — jak ją biła macocha, jak ją potem chciała wydać za mąż za starego, jak ona z domu uciekła — i Stasio dał sobie słowo, że będzie dla niej dobry; nawet ją zaczął uczyć liter.  
— Ale po co z nim zaczyna zawsze?  
I teraz chciał powiedzieć, żeby usiadła, to jej przeczyta zbrodnię na Woli, potem Ludwika opowiedziałaby także zbrodnię — i tak by się zaczął wieczór przyjemny. — Ale dwie dwójki — kurator.  
— Niech Stasio odda kuriera.  
— Niech Ludwika puści, bo podrę.  
— To niech Stasio puści.  
— To dobrze: ja się ze Stasiem bić nie będę.  
Ludwika ma myśl ukrytą: chce, żeby każde z dzieci coś zbroiło, żeby je potem zobowiązać do milczenia; a sama chce się wymknąć na pół godzinki do pralni, gdzie wieczorem bywa tak wesoło.  
— A Zosia niech nic nie rusza.  
— A właśnie, że ruszę.  
— A ja mówię, że nie ruszysz.  
Zosia wchodzi odważnie do ciemnej sypialni i wynosi flakon z wodą kolońską.  
— No, o tym to już pani będzie wiedziała.  
— No, niech wie.  
Józio jest złote dziecko. Teraz jest spokojna. Żadne z dzieci nie piśnie ani słówka. Może sobie wyjść swobodnie na godzinę.  
Stasio odłożył gazetę, oparł się i patrzy na Józia:  
„Maminsynek — myśli o nim z zazdrością. — Brata się powinno kochać. Czy ja go kocham?”

<sup>42</sup>kurierek — tu: gazeta codzienna. [przypis edytorski]

— Może zagramy w co? — decyduje się wreszcie Zosia.

Józio patrzy pytająco na Stasia.

Stasio wyjmuje z szafy tom Słowackiego, bo Sienkiewicza mama dawno już pod klucz zamknęła. — Stasio nie lubi wierszy. — *Ojciec zadżumionych*<sup>43</sup>. — może to ciekawe.

Zosia patrzy na zegar. Już przeszło pół godziny — i nic.

— Powiem mamie, żeś wyjął książkę.

— A ja powiem mamie, że ruszałaś perfumy.

Józio kładzie się na kanapie.

Stasio czyta — czyta z wzrastającym zainteresowaniem.

I nagle przychodzi mu do głowy myśl dziwna: ten ojciec zadżumionych podobny jest do Stasia. — I na ojca zadżumionych, i na Stasia spada cały szereg nieszczęść, których końca nie widać. — Jeszcze się feralny tydzień nie skończył, jeszcze dwa dni. Kto wie, co dalej będzie? Może go wyrzucą albo co? — Tamtemu dzieci umierały, a on dostaje dwójkę po dwójce. — I za co to, za co? Co złego zrobił ten ojciec, że mu umierały tak dzieci? — Biedny! — Stasio ma łzy w oczach. Józio siedzi na krześle i patrzy w światło lampy. Zosia patrzy gniewnie na Stasia: przez niego cały wieczór zepsuty — jakieś muchy ma w nosie dzisiaj — wykapany tatuś...

Nie ma nikogo z dorosłych, a w mieszkaniu tak cicho. Czemu dziś tak smutno, chociaż nie ma mamy?

Oto krzywdą się dzieje już nie Stasiowi tylko, ale Józiovi i Zosi także. Oto sen mroczny śni historia, że zły duch, zła siła legła u wrót izby szkolnej — zła, bo nie znosi śmiechu dzieci — zła, bo gdy taki wesoły i beztroski śmiech dzieci usłyszy, to jej krwią nabiegają oczy, leniwie głowę ku drzwiom zwróci — i warknie — i śmiech płoszy.

Biedne, bezradne — gdzież modlitwa za wasze szczęście płowe — gdzie pomoc? — Zdziwione oczy wasze smutne. — Może jawi się cud — rycerz o stu głowach, o stu po sto rąk czarnych w guzach<sup>44</sup> i garbach, i bliznach od ciężkich narzędzi pracy — i dla wszystkich, i dla was lepsze jutro kupi.

Mroczny sen śni historia.

\*

— Poczekaj, dam ja ci za wczorajsze — odgraża się Malinowski.

Malinowski jest dzisiaj dyżurnym. — Stasio przypomina sobie wczorajszą kłótnię i niepokój wkrada mu się w serce. — Malinowski i tak jest świnia i lizuch, a teraz jeszcze...

Po drugim dzwonku ktoś gwizdnął.

— Przemyski, dlaczego gwizdziesz? — ryczy na cały głos Malinowski, wiedząc, że pedel chodzi po korytarzu.

— Kłamiesz: to nie ja gwizdę — broni się Stasio, choć wie, że jeśli dyżurny powie pedlowi, to na pewno uwierzy dyżurnemu. Stasio czuje swoje położenie bez wyjścia i bezsilny gniew w nim wzbiera.

W klasie ktoś gwizdnął po raz drugi.

— Znowu Przemyski? — wrzeszczy Malinowski i zapisuje Stasia na kartce.

Ale pedel nie słyszał; Stasio jest ocalony. Stasio pokaże temu świntuchowi, że go się nie boi.

— Masz, zapisuj sobie. — I gwizdnął sam teraz.

I w progu ukazał się inspektor.

— Kto gwizdał?

— Przemyski. — I podaje kartkę.

— Zostaniesz na dwie godziny po lekcjach.

Inspektor bierze kartkę od Malinowskiego i wchodzi do piątej klasy na lekcję.

— Po co ci było z nim zaczynać?

— Pilnuj swojego nosa.

A to się wiedzie temu Przemyskiemu — no!

<sup>43</sup>*Ojciec zadżumionych* — poemat Juliusza Słowackiego (1809–1849); opowiada historię mężczyzny, któremu zaraza zabiera żonę i siedmioro dzieci. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*guzy* — być może: gruzły, czyli nieforemne zgrubienia. [przypis edytorski]

Stasio ma godzinę do namysłu. Inspektor zapisze do *sztrafnego*<sup>45</sup> dopiero na dużej pauzie. — Prosić czy nie prosić?

— Idź, poprosz — namawiają koledzy — powiedz, że cała klasa widziała.

— Niech no ja będę dyżurnym — mówi jeden — to Malinowski dostanie za ciebie.

— Świnia, lizuch — bydlę.

Stasio czeka przed drzwiami piątej klasy, inspektor nigdy zaraz po dzwonku nie wychodzi, tylko dopiero w pięć minut. — Obok Stasia wszyscy jego stronnicy w pogotowiu — to świadkowie; trochę z dala — reszta klasy.

— Co to znów za zbiegowisko? — pyta, wychodząc, inspektor.

— No idź — pchają go koledzy.

— Proszę pana... — zaczyna Stasio.

Powie mu wszystko, od samiutkiego początku, wszystko jak na spowiedzi — wszystko od poniedziałku. — Przebaczy mu — musi mu przebaczyć — musi mu przebaczyć.

— Rozejść się! — Kartkę Malinowskiego inspektor trzyma w ręce.

— Proszę pana... ja...

Inspektor nie słyszy — idzie przez korytarz. Na schodach tłum ich rozdziela. Stasio przedziera się z jakimś dzikim uporem. Powie mu wszystko od samiutkiego początku — wszystko mu powie — od samego poniedziałku powie. — Przebaczy, na pewno przebaczy — nie napisze do *sztrafnego*. Na progu *ucznielskiej* zastępuje drogę.

— Proszę pana...

— Wiem, wiem...

— Proszę pana...

— Już nie będziesz więcej — prawda?

— Już nie będę.

— Jak nie będziesz, to bardzo dobrze, a dziś posiedzisz dwie godziny. Zrozumiałeś?

I znikł.

— No co?

— Idźcie do diabła!

Stasio wraca do klasy i wybucha gwałtownym płaczem.

— Przemyski, wyjdź z klasy — woła z daleka Malinowski.

Stasio nie odpowiada. Malinowski nie śmie drugi raz powtórzyć rozkazu.

Do klasy wchodzi klasowy gospodarz: czy wszyscy wyszli, czy okna otwarte?

— A ty co? Aaa, Przemyski. — Źle, źle: wczoraj trzy pałki, dziś koza.

I za tych kilka obojętnych słów Stasio jest mu tak wdzięczny jak za najwyższe dobrodziejstwo; nie ma już do niego żalu za poniedziałkową dwójkę. — Pozwolił mu zostać w klasie, nie skrzyczał, nie wypędził.

\*

Niemiec, stawiając Stasiowi stopień, pokiwał smutnie głową, cmoknął ustami, spojrzął na jego zapłakane oczy i postawił mu czwórkę z plusem. — Stasio tylko na trójkę zasłużył — i to może z minusem.

— Cztery dostałeś.

— Dobrze.

Stasia nic już nie pocieszy — i tak wszystko stracone.

Szkoła się wyludniła. Tak głucho, pusto, strasznie. Tyle ławek, na ścianach mapy i — Stasio sam. A tam, za oknem, na ulicy, wszystko po dawnemu, jak gdyby się nic nie stało. Ludzie sobie chodzą, jak gdyby nigdy nic. Tramwaj jedzie, chłopiec kuriera sprzedaje, niańka idzie z dwójgiem dzieci, pan z podniesionym kołnierzem, dwaj studenci, pani z dzieckiem. Jacy oni wszyscy szczęśliwi. Tylko on jeden — jedniusięki na całym świecie.

Inspektor teraz pewnie poszedł na obiad — i ani pomyśli o nim. Co go może Stasio obchodzić, kogo może Stasio obchodzić? Jedno słowo: „przebaczam”, albo: „pamiętaj, żeby to ostatni raz było” — i dlaczego nie powiedział?

<sup>45</sup>*sztrafny* — dziennik kar. [przypis autorski]



Po co zaczynał z Malinowskim? — Prawda, że Malinowski przysięgł się na Boga, że mu nie daruje, ale przecież przysięga w złości się nie liczy — to chyba mały grzech. Ludwika jest bardzo nabożna, a ile razy przysięga się, że mamie powie, a potem nie mówi.

Ach, jak mu życie zbrzydło, jakby strasznie chciał umrzeć. Nie chorować, nie męczyć się, tylko tak od razu umrzeć.

Stasio opiera się na łokciu, patrzy nieruchomo w kąt klasy i myśli o tym, jakby on chciał umrzeć.

Na przykład ta mała w żalobie wpada pod konie. Stasio rzuca się, żeby ją uratować. Chwyta konia za uzdę, koń staje dęba, ale Stasio uzdy nie puszcza. Wtedy koń rzuca się w bok i uderza głową Stasia o latarnię, a potem dobija go kopytem. — Niosą trupa do gimnazjum. Piszą o nim we wszystkich gazetach, nazywają go młodym bohaterem. Na pogrzebie jest całe gimnazjum: i dyrektor, i inspektor, i wszyscy uczniowie — mama i tatuś, i — ta, której uratował życie.

Ale Stasiowi żal młodego życia.

Nie, koń go nie zabija, tylko ciężko go rani. Stasio choruje bardzo długo, aż prawie do Bożego Narodzenia. Na dwa dni przed świętami przychodzi do szkoły blady, z zawiązaną głową, żeby go mogli wyrwać jeszcze na poprawkę. I na drugi kwartał nie ma ani jednej dwójki, bo go łatwo słuchają. — Malinowski przychodzi go przeprosić i Stasio mu przebacza.

Boże Narodzenie — święta, choinka. Jakież to wszystko odległe. — Cztery tygodnie. — Kiedy się to skończy?

Co mama powie, jak zobaczy dziennik?

— Pójdiesz do szewca. Z tobą nie można postępować jak z człowiekiem. Jeżeli mi weźmiesz jaką<sup>46</sup> książkę do czytania, to ci łapy poprzetrącam. Ucz się! — będzie świszczało jak bat.

Wreszcie po paru dniach Stasio pójdzie przeproszać; odpowiedzą mu chłodno, opryskliwie:

— Dobrze, dobrze — zobaczymy.

A niezrobione zadanie, a jak w przyszłym tygodniu coś mu się nie powiedzie — to znów dwie dwójki.

Nie, tylko śmierć może go ocalić — nic więcej...

Stasio wrócił do domu głodny i wyczerpany bezcelową walką wewnętrzną, dwugodzinną gorączkową pracą myśli w samotności.

— Coraz lepiej, Stasieczku: wczoraj zadanie, dziś koza.

— Nie wczoraj zadanie, tylko onegdaj<sup>47</sup>.

Stasio chce, aby go mama zbiła: niech bije, niech wszyscy się nad nim znęcają aż do końca. Naumyślnie tak będzie odpowiadał.

— Zadanie onegdaj, no a koza także onegdaj?

— Niesprawiedliwie mnie wsadził.

— Ja wiem: ty zawsze masz na wszystko sto wykretów.

— Nie mam wykretów. A jak mama nie wie, to niech mama nie mówi.

Stasio odłożył łyżkę, rzucił się na swoje łóżko i aż do przyjścia korepetytora leżał i płakał. Nie był to już spazmatyczny płacz obrażonej dumy, gniewu bezsilnego i buntu, płacz, którym wzbudził współczucie klasowego gospodarza, tak że go na pauzie nie wyrzucił z klasy, był to teraz płacz poddania i poczucia wielkiej krzywdy, gorzki płacz człowieka, który się zawiódł nawet na najbliższych mu — na ostatnich już.

I matka zrozumiała — dobre myśli podsunęło jej tym razem serce:

„Może naprawdę niesprawiedliwie? Stasio przecież nie kłamie. Doktor powiedział, że Stasio jest anemiczny. Stasio nie tknął obiadu i śniadanie przyniósł z powrotem. Jeszcze się rozchoruje i gorzej będzie. Stasio nie siedział jeszcze w żadnej klasie dwa lata”.

Po lekcji z korepetytorem Stasio zjadł obiad, nie miał lekcji z niemką, a wieczorem dostał już w łóżku nadziewaną długą czekoladkę.

\*

<sup>46</sup> *jaką* — dziś popr.: *jakąś*. [przypis edytorski]

<sup>47</sup> *onegdaj* (daw.) — *kiedyś*. [przypis edytorski]

Biedna mama, jaka ona dobra. Stasio odpowiadał niegrzecznie, a ona pozwoliła mu nie mieć lekcji z niemką i dała mu nadziewaną czekoladkę. Biedna mama — mama także jest nieszczęśliwa, bo nic nie ma z życia: siedzi cały dzień w domu jak zakłeta, tatuś jest niewyrozumiały i bezwzględny, a jak mama kupi ładny materiał na suknię, to jej krawcowa spaskudzi.

A tatuś czy szczęśliwy? Także nie: męczy się, pracuje, teraz o grosz trudno, a jak się wybiera do teatru albo co, to mama mu zrobi scenę i zepsuje humor.

A Stasio zamiast się starać dobrze uczyć, zatruwa im chwile i wpędza do grobu.

Tak, tak. Wszystkiemu winien Stasio, bo jest leń, bo nie chce się uczyć.

Jutro sobota, jutro będzie na pewno wydawał z geografii — już w poniedziałek miał wydawać — a czy umie? Prawda, że może się nauczyć na dużej pauzie, bo zadano mało i łatwe, ale czy nie lepiej było dziś się nauczyć, a jutro powtórzyć tylko? Siedział dwie godziny w kozie; mógł nauczyć się pokazywać główne miasta w Azji, bo o to się pyta — a dlaczego tego nie zrobił, chociaż mapy wisiały na ścianie? Skorzystał z tej kozy i płaczu, żeby się tylko nie uczyć.

Ale teraz koniec: Stasio weźmie się do siebie<sup>48</sup>.

— Jak Bożę najszczerzej kocham, będę się już uczył — postanawia Stasio.

Przysięgnie się, i to tak, że już będzie się musiał uczyć, bo inaczej popełniłby straszny grzech.

Kłęką więc w łóżku i ponawia uroczyste przysięgę:

— Jak Ciebie kocham, o Panie nasz i Ojczy, jak Ciebie kocham, przენajświętsza Trójco, od jutra będę się uczył, będę czytał tylko w niedzielę... i jeżeli będzie już zupełnie mało lekcji — dodaje przezornie — i już powtórzę wszystko, czego nie umiem dobrze, a co potrzebne.

Stasiowi trochę się strasznie zrobiło, że tak za jednym zamachem spalił za sobą mosty, ale tym silniej wierzy w moc swojej przysięgi.

Co dzień po sześć stronice geografii, po trzy paragrafy niemieckiego ze słówkami, i to tak, żeby wiedzieć, co jest *der*, co *die* i co *das*, po jednej części mowy i po dziesięć zadań.

Trzysta zadań w ciągu jednego miesiąca!

Stasio czuje się bogaczem — tylko jeden miesiąc wytrzymać. I wytrzyma — teraz już musi, bo się związał przysięgą.

Gdyby już było jutro, gdyby tak można teraz w nocy wstać z łóżka i zrobić pierwszych dziesięć zadań albo od razu dwadzieścia — na dwa dni z góry.

I Stasio tak cudnie, pogodnie, tak spokojnie zasypia. I nazajutrz tak szybko i rześko zrywa się z łóżka, o dziesięć minut wcześniej niż zwykle wychodzi z domu, tak wesoło upływają mu pierwsze trzy lekcje, tak bez troski bawi się podczas pauzy w berka.

Nawet na geografii nie boi się ani trochę.

Dziś robi z korepetytorem dziesięć zadań, pierwsze paragrafy niemieckiego są łatwe, *suszczerwitelnoje*<sup>49</sup> umie prawie na pamięć — na poniedziałek mało lekcji, wszystko to machnie w dwie godziny, a wieczór będzie miał swobodny.

To samo jutro, pojutrze.

Nawet dziennik go nie przeraża. Przyrzeknie uroczyste, że się poprawi, powie, że przysięgł, to mu mama musi uwierzyć.

Do dzwonka zostało pięć minut. Stasio składa książki, zapina tornister — i już go nawet trochę wysunął z kasetki.

— Przemyski!

Stasio nie wierzy. Jak to? Od poniedziałku miał zacząć w szkole nowe życie, pełne zaszczytów i triumfów — nowe i zupełnie niepodobne do dawnego — już... już za pięć minut miał się skończyć ten stary, przeklęty tydzień — już nawet książka schowana — i nagle...

— Przemyski.

Stasio nie pamięta głównego miasta w Tybecie. Na pewno każe mu mówić główne miasta w prowincjach chińskich. Stasio jest odurzony — zmartwiały.

— Główne miasto w Persji — rzuca nauczyciel, spoglądając na zegarek.

<sup>48</sup>*do siebie* — dziś popr.: za siebie. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*suszczerwitelnoje* (ros.) — rzeczownik. [przypis autorski]

O Persji Stasio wie, ale potem zapyta go o Chiny, a on zapomniał, jak się nazywa to miasto, gdzie mieszka dalajlama.

— Ja czekam — mówi nauczyciel.

I Stasio czeka. Owładnęło nim dziwne lenistwo myśli. Może dzwonek! I dlaczego go wyrwał?

— Teheran — podpowiada pierwsza ławka.

Zdrowy rozum nakazuje pleść byle co. Nauczyciel już nawet notes schował — i tak stopnia nie postawi.

— Teheran — krzyczy cała klasa.

— No? — pyta nauczyciel, udając, że nie słyszy podpowiadania.

Stasio milczy.

— Jakie jest główne miasto w Persji?

— Teheran — ryczy już głośno klasa.

Stasio wzrusza obojętnie ramionami. Nauczyciel leniwie wyciąga rękę po pióro.

W mowie potocznej nazywa się to, że Stasio się — uparł.

## FRANEK

Zrzucił z siebie łachmany, wszystkie łachmany zrzucił. Uwalił się na piasek, na piach ci się uwalil i zamknął oczy. Oczy zamknął, bo mu słońce do ślepiów lazło. Ciepło. Dobrze.

„Choroba!” — pomyślał Franek.

Pomyślał: „choroba”, to znaczy, że mu dobrze, ciepło, wesoło, że leży na piasku, na słońcu.

Wykąpie się. W swojej się Wiśle wykąpie. We własnej Wiśle wykąpie. Będzie się kąpał w swojej własnej Wiśle za wszystkie czasy.

Miękko na białym piasku wiślanym, ale chce jeszcze wygodniej; więc plecami piach rozgarnia, głębiej się wciska; ręce pod głowę założył, plunął w górę, w powietrze — i zasnął.

Należy mu się lato. Ciężką bo miał zimę<sup>50</sup>. Ciężkie miał wszystkie zimy w życiu; a od wojny to było już całkiem źle.

Trzydzieści lat ma Franek, od czterech lat na wojnie; od czasu, jak pierwszy raz wybrał się za Żyrardów do okopów, kurierki oficerom sprzedawać. Sprzedał kurierki, ale wracać nie chciał.

— Będę Szwabów prał — powiada.

Bił się pod Łowiczem, bił się koło Sochaczewa, na prawo, na lewo, po różnych wsiach. Potem bił się w Galicji, potem koło Kijowa. Bił się po stronie Moskali, po stronie Niemców; był u Węgrów, Słowaków, Rumunów.

— Będę Szwabów prał — mówi Franek. — Będę Moskali lupił — mówi. — Będę Żydów bił — mówi. — Ukraińców będę prał — mówi.

Wszystko mu było jedno, bo wszędzie obcy. Nic nie rozumiał, kto kogo i za co bije. Głupi był. Jedno tylko wiedział: że jak nie ma co jeść, a jak zimno, to źle. Więc się bronił od zimna i głodu. Nie zawsze się udawało. Nie zawsze mu się udawało obronić od zimna i głodu.

Wyspał się Franek, aż głowa go rozbolała.

— Choroba!

Usiadł, oczy pięściami przetrął, rozejrzał się, wyszukał papierosa z kieszeni, wypalił, splunął.

„Będziemy się kąpać” — pomyślał.

I nagle ogarnął go gniew na widok szmat, które obok leżały. Trzeba to wszystko utopić. Lato, więc niepotrzebne. Ciepło już, po co mu nosić na sobie? Trzeba utopić. Sięgnął po buty.

Spojrzał na nogę. Zagoiła się teraz, ale naciępnął się z nią. Odmrożona była. Buty od Moskali jeszcze dostał. Zdarły się.

— Choroby, psiekrwie te Moskale.

<sup>50</sup>Ciężką bo miał zimę — szyk przestawny: Bo ciężką miał zimę. [przypis edytorski]

Ten jeden był niczego: poczciwe Moskalisko. Cztery miesiące włóczył się z ich obozem. Ciężko było po górach, do czorta. Razem z nim spał, z jednego kociolka jadł, przerobił mu buty na miarę. Zdarły się. — Zamachnął się i cisnął buciska do rzeki. — Lato — po co mu to? Tylko ciężar na nogach.

Sięgnął po bieliznę. Było tego ze sześć<sup>51</sup> sztuk. Od jesieni do zimy jedno na drugie nakładał. Co zostawić? Raz i drugi przejrzał sztukę po sztuce.

— Ta koszula będzie chyba dobra, tylko uprać trzeba.

Oderwał jeden rękaw, bo podarty. Dobra koszula, mocna jeszcze. Od Niemców tę koszulę dostał.

— Choroby, psiekrwie te Szwaby.

Ten jeden był niczego — poczciwe Niemczysko. Frycem go nazywał, śmieszny taki, kark miał gruby jak byk i sapał. Pięć tygodni szli, szli razem po błotach, ciężko było, *donnerwetter*<sup>52</sup>, błoto takie, że ha.

Zwinął bieliznę w kłębek i cisnął do rzeki; jedną koszulę zostawił, tylko tę jedną koszulę, którą dostał koło Pińska. Lato przecie<sup>53</sup>, niepotrzebne mu to wszystko, robactwo tylko gryzie od tych szmat.

Kamizelkę i bluzę zostawił, resztę utopił.

— Choroby, psiekrwie te Żydy.

Zaziębił się Franek pod Zbarażem. Cztery dni i trzy noce uciekali; Węgrzy ich tak gnali, że strach. Znów tedy był u Moskali, zostawili go u Żyda w chałupie. Poczciwy był Żydzisko. „Nie uciekaj — powiada — chory jesteś”. Jak Węgrzy wieś zajęli, do lazaretu go oddał, kamizelką go okręcił, bo zimno było.

Bluzę dostał od Ukraińców. Śmieszne psiejuchy takie. *Dywys, podywys* — mówią, a to po polsku znaczy: „Patrzaj”. Dużo ich było po wsiach wszędzie. Dużo świata widział Franek, nic ciekawego. Góry trochę ładne, Dniepr szerszy od Wisły, ale w Wiśle woda przyjemniejsza.

Wszedł Franek do wody po kostki, palce w rzece zamoczył i przeżegnał się.

— Całą rzekę tam i z powrotem przepłynę. Na mieliźnie na środku odpocznę. A jak mi się uda jednym tchem Wisłę przepłynąć, wstąpię do polskiego wojska!

Do polskiego wojska!

Bo tamto co było? Nic. Trajlował<sup>54</sup>, że się bił. Włóczył się tylko. Włóczył się — nic więcej. O co miał się bić, po co się miał bić. Teraz co innego:

Polski będzie bronił!

A tam — włóczył się — i kradł.

Złodziejem był, włóczęgą. Złodziej, nie żołnierz. Teraz będzie inaczej. — Teraz już będzie inaczej!

Wszedł Franek do wody głębiej, wszedł po kolana do wody. Rozejrzał się. Nikogo naokoło, nikogusieńko. Sam jeden. Chciał być sam. Umyślnie wybrał takie miejsce, żeby nikogo nie było wokoło. Dosyć ma ich, dosyć ma tych kolegów, dosyć ma ich wszystkich. Co z niego zrobili? Złodzieja z niego zrobili ci koledzy, te złodziejskie dusze.

Spojrzał Franek wokoło: Wisła — jego Wisła.

Tyle wody, tyle słońca, tyle nieba.

— Boże, daj Boże, daj mi Boże, żebym już nigdy nie kradł.

Płynąć zaczął. Nad rzeką się urodził i wychował, umie pływać. Tylko przez zimę trochę zgrabiał. Bez odpoczynku przepłynie. Co to? Co to? Jezu! Jezu!

Poszedł Franek na dno. Utonął...

## MOJA OBRONA

Powiedziała pani, że pani szkoda wyrzucić mnie ze szkoły, bo jestem zdolny i dlatego pani szkoda. Powiedziała pani, że mogę wrócić do szkoły, jeżeli dam słowo, że się nie będę bił, żebym się nie spóźniał, żebym nie psuł porządku. Więc ja słowa dać nie mogę, ale napiszę swoją obronę, a pani niech osądzi i robi, jak chce. Opiszę całe moje życie, bo nic tak

<sup>51</sup>ze sześć — dziś popr.: z sześć. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*donnerwetter* (niem.) — do diabła. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>przecie — dziś popr.: przecież. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>trajlować (daw. pot.) — tu: zmyślać, kłamać. [przypis edytorski]

bardzo złego nie zrobiłem, a koledzy mi dokuczali, bo mi zazdrościli, dlatego że jestem inny, ale nie gorszy od nich.

Więc kiedy żył ojciec, było mi dobrze w domu, zacząłem już chodzić do szkoły i gdyby ojciec nie umarł, wszystko byłoby inaczej. Zostaliśmy się bez ojca: ja, matka, siostra i braciszek. Siostra miała angielską chorobę<sup>55</sup>, a braciszek był zdrowy, ale mały. Matka zgodziła się do restauracji, a jak przynosiła do domu jedzenie, to nie chciałem objadać małych i szukałem roboty. Woziliem nie śmiecie, a mleko<sup>56</sup>. Żeby nawet wozili śmiecie, to mi nie ubliża. Pani sama mówiła, że żadna praca nie hańbi, tylko potem wyszło inaczej — że hańbi. Przypomnę pani, jak to było. Kiedy zaczęli wołać na mnie: „kurierkarz<sup>57</sup> i śmieciarz”, powiedziała pani, żeby się mnie nie czepiali i — żeby się nie gniewała. I gdyby oni przestali, toby tego wszystkiego nie było. Ale jak oni dalej mnie zaczepiali i ja się pobiełem, pani się rozgniewała i powiedziała przy wszystkich, że naprawdę zachowuję się jak śmieciarz i ulicznik. Jeżeli tak, to oni mają słuszość, więc ja miałem już ręce związane.

Więc mama pracowała ciężko, bo trzeba było kotły szorować; to nie była praca dla słabej kobiety, a mama była słaba i jak jeszcze ojciec był zdrowy, miała bóle wewnętrzne i dwa razy leżała w szpitalu. Więc podźwignęła się i dostała krwotoku. Wuj nam pomagał, ale tylko trochę, bo mu ciotka robiła awantury. A ja, chociaż pracowałem od piątej rano do południa i od czwartej do wieczora, też mało zarabiałem. I wtedy mnie chłopak z tego podwórka namówił, żebym sprzedawał gazety, że będę dużo zarabiał. Pani może myśli, że sprzedawać gazety to zabawa. Wcale nie. Z początku to się wstydzę i boję się, żeby się nie omylić, nie dać dwóch kurierków zamiast jednego, żeby się nie rozsypały w błoto, żeby nie wydać za dużo reszty. Raz wykupisz za mało i martwisz się, że mogłeś więcej zarobić; raz kupisz za dużo i stracisz. Chcę dużo zarobić, żeby matce ulżyć, a wychodzi, że byle szczeniak więcej zarobi. Ja wiem, jak zobaczą, że chłopak żartuje albo się śmieje, to myślą, że tak każdy i zawsze, ale widzą tylko wesółych, a smutnego nie dostrzegają nawet. Wesóły więcej zarabia, bo jak kupują kurierki, to lubią pożartować. Pętakem<sup>58</sup> ja nigdy nie byłem, a że powiem, że jest coś ciekawego w gazecie — to takie kłamstwo wstydu nie przynosi, jak się ma matkę i dwoje dzieci. Nie chcę obmawiać kolegów, ale niech mi jeden powie w oczy, że nie kłamie. Tylko każdy inaczej kłamie, jeden tak, a drugi inaczej. Kiedy pani powiedziała wtedy: „wiem jeszcze o innych twoich grzechach”, to pani też nie powiedziała prawdy, bo pani nic nie wiedziała, tylko pani chciała mnie nastraszyć, żebym się przyznał, czy zjadłem jemu śniadanie.

A złodziejem nie byłem i nie jestem. Gdybym chciał być złodziejem, to może moja matka by nie umarła. Ale ja nie chciałem. Jeden jedyny raz spróbowałem przy tramwaju włożyć rękę do kieszeni, ale i wtedy nie myślałem kraść, tylko spróbowałem, jak to jest, sam nie wiem, czy przez żart, czy jak; ale nic nie wziąłem i nawet nie wiem, czy on miał co w kieszeni, czy nie.

Ulicznikiem żadnym nie byłem. Poznałem się z chłopakami, bo musiałem, ale żadnego przyjaciela nie miałem; tylko jak się rozmawiało, to się o wszystkim dowiedziałem. Dowiedzieć się jest co<sup>59</sup> innego i nauczyć się też co innego. Pani powiedziała, żebym zapomniał o tym, co było. Nie, proszę pani, nic nie można zapomnieć, jak się już coś wie. A palić papierosy nauczyłem się wcale nie od gazeciarzy, a właśnie<sup>60</sup> w szkole, kiedy jeszcze ojciec żył. To muszę pani otwarcie powiedzieć, że wolę tych uliczników nawet. Zawsze wieczorem układałem sobie, że jak dorosnę, to założę prawdziwy klub dla chłopaków. Dla starszych nazwałbym klub andrusów, a dla małych — klub szczeniaków. Tak bym na złość nazwał. I będziemy mieli swój sztandar, i dumni będziemy ze swojej nazwy. A jakby ojczyźnie groziło niebezpieczeństwo, tobyśmy poszli złożyć w boju głowy, a piecuchy pochwaliby się<sup>61</sup> w kąty. Już wróg wkracza do miasta, znikąd pomocy, a tu zjawia się w ostatniej chwili odsiecz. I zwyciężają. To moje legiony: andrusy, śmieciarze, szcze-

<sup>55</sup>angielska choroba — krzywica. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>nie śmiecie, a mleko — dziś popr.: nie śmieci, ale mleko. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>kurierkarz — tu: gazeciarz, ulicznik. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>pęta — tu: ktoś niegodny zaufania. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>co — tu dziś popr.: coś. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>nie od gazeciarzy, a właśnie — dziś popr.: nie od gazeciarzy, ale właśnie. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>pochwaliby się — dziś popr.: pochowałyby się. [przypis edytorski]

niaki, pętaki. A ostatnia kula mnie zabija. Ja płaczę, jak sobie o tym myślę. A w moim klubie nie byłoby żadnych dyrdymalek, tylko by każdy robił, co chce. Mają grać w karty albo w orla gdzie<sup>62</sup> pod bramą, to niech grają w klubie. A potem nauczyłbym ich grać w warcaby, urządziłbym orkiestrę. Ja często grałem z ojcem w warcaby. A jak się jedną ręką daje, a drugą grozi, to każdy porządny ucieknie, a zostaną tylko lizuchy i cygany<sup>63</sup>, co w oczy robią miny, a za oczy się wyśmiewają.

Tylko ja bardzo proszę, żeby pani nic o tym chłopcom nie mówiła, bo oni tylko wyśmieją się. Już mam stąd naukę na całe życie.

Więc rodzice umarli, więc już nie miałem nikogo na świecie. Pani pewnie powie, że miałem przecież rodzeństwo. Ale co to jest: jedno miało cztery lata, a brat — siedem. Pomówić z nimi nie mogłem, a płaciłem tylko sąsiadce, że nas trzymała, bo nie mogła ze swojego dokładać. Teraz to bardzo chciałbym się dowiedzieć, gdzie są, czy żyją, czy umarli, ale ten przytułek przenieśli gdzieś i już pewnie nigdy ich nie zobaczę, a jak zobaczę, to nie poznam. Pani pamięta wtedy, co się pani gniewała na mnie, że nie mogłem powtórzyć o nietoperzu. Pani powiedziała, że jak raz siedzę spokojnie, to myślę o niebieskich migdałach. Więc to tak było, że na ulicy widziałem chłopca — i podobny był do mojego braciszka. Już przeszedłem, ale coś mnie jakby pchnęło, więc zawróciłem i zawołałem raz, ale on się nie obejrzał. Pomyślałem sobie, że jak on jest w przytułku, to skąd by sam chodził po ulicy — i zawróciłem. A w nocy śniła mi się mama, tak jak umierała. Usta miała trochę przekrzywione i patrzyła na ścianę. A potem wzięła braciszka, ale on we śnie był zupełnie malutki, jak lalka — i podała mi go, i mówi: „masz, masz”, a ja wyciągnąłem rękę, żeby wziąć, ale się czegoś przestraszyłem i zacząłem uciekać. I obudziłem się. Jakbym wiedział, gdzie oni są, tobym miał do kogo iść w święto, ale już się nie dowiem.

Ja wtedy uważałem, jak pani mówiła o nietoperzu, ale słowa mi wchodziły do uszu, a w głowie myślałem, że jak mi się tak matka śniła, to może naprawdę spotkałem brata, więc szkoda, że zaraz nie zawróciłem i nie zawołałem go jeszcze raz, bo może on nie słyszał. Może go za sprawunkiem posłali albo go ktoś wziął do siebie.

Więc takie było moje życie. A teraz chcę pani napisać, co się później stało. Wuj wziął mnie do siebie, bo już byłem teraz sam i mogłem się wujowi przydać. Wuj powiedział, że woli swojego, bo jest pewniejszy od obcego chłopaka. Potem się dowiedziałem, że tamten chłopak wuja okradał. I wuj pozwolił mi chodzić do szkoły. Jestem wujowi wdzięczny, że mnie posyła do szkoły. A ze szkołą jest tak, że ja szkoły nie lubię. I myślę, że pani sama nie jest zadowolona, bo pani czasem jest zła, a czasem smutna, czasem mi pani żal, jak chłopcy dokazują i nie słuchają, a czasem chce mi się śmiać, że pani do nich tak mówi jak ksiądz, a oni sobie nic z tego nie robią. Bo co im pani zrobi — rozgrzeszenia im pani nie da? Więc panią oszukują tylko, a pani im wierzy. Za to nie lubię szkoły, a za co lubię, to już sam nie wiem.

Teraz już przystępuję do mojej obrony. Pani myśli, że się spóźnię do szkoły, bo mi się nie chce wstać albo się gapię na ulicy. Mnie ulica już nie ciekawi, już ja się napatrzyłem aż za dużo; ulica może bawić tylko takich, których matka nie puszcza na dwór, a nie mnie. Jak mam robotę, to muszę naprzód zrobić, więc nie mogę pani obiecać, że się nigdy nie spóźnię. Szkoda jest tylko dla mnie, a wchodzę cicho i nikomu nie przeszkadzam.

Biłem się pięć razy, i żeby pani nie wiedziała, że sprzedawałem kuriery, toby pani nie była dla mnie taka surowa. Ale cóż? Ja sprzedawałem kurierki, więc mnie nie wolno bronić<sup>64</sup>, kiedy mnie kto zaczepi. Powie mi jeden, że śmiecie woziłem, powie mi drugi: „idź do swoich grandziarzy<sup>65</sup>” albo „znajda”, a ja mam milczeć, bo jestem gorszy od nich. Ja raz jeden tylko sięgnąłem do cudzej kieszeni i nic nie wziąłem, ale żeby ja naprawdę dawniej kradł, a teraz chciał się poprawić, to co by było? Co pani chce na lekcji poprawić, oni całą pani pracę na pauzie zepsują.

Pani mówiła, że to koledzy; uwierzyłem pani i spotkała mnie za to kara.

<sup>62</sup>gdzie — dziś popr.: gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>cygany — tu w zn.: oszuści, złodzieje; określenie to w sposób stereotypowy i krzywdzący łączy przynależność do grupy etnicznej (Cyganie, dziś raczej: Romowie) z zachowaniami przestępczymi (oszustwo, kradzież) [przypis edytorski]

<sup>64</sup>nie wolno bronić — być może: nie wolno się bronić. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>grandziarz (daw.) — łobuz, chuligan. [przypis edytorski]

Jak przyszedłem do szkoły, to nikogo nie znałem jeszcze i było mi smutno. Ano, myślę, znajdę sobie kolegę, to mi będzie lepiej. I znalazłem. Chodziliśmy razem ze szkoły, więc mu opowiedziałem o sobie, nie powiedziałem wszystkiego, bo uważałem go za kolegę, a nie za przyjaciela. Ale skąd mogłem wiedzieć, że tak się stanie? A stało się, że się ze mną pokłócił i rozgadał wszystkim, co jemu mówiłem, i nakłamał od siebie dwa razy więcej. Ja powiedziałem, że woziłem mleko, a on powiedział, że śmiecie. Może niepotrzebnie mówiłem, że ciotka nie jest bardzo dobra dla mnie, ale on nakłamał, że mnie biją, nie dają jeść i w piwnicy zamykają. A potem już poszło: i śmieciarz, i ulicznik, i wszystko. Niech pani sprawdzi, czy ja napadam, czy ja się bronię, a potem niech pani sądzi.

Kłamstwo jest to całe koleżeństwo, koledzy oni są do psich figłów albo do złego, ale nie żeby pomóc drugiemu. Kto ma całe buty, ten się pyszni, kto ma dwa pióra, ten nie pożyczy drugiemu. Nie mówię, żeby tacy wszyscy byli. Jak mnie<sup>66</sup> pani kazała iść do domu, to tylko jeden się znalazł, który miał dla mnie dobre słowo, i to taki, co ja o nim nie myślałem i nie widziałem nawet. I on mi przyznał rację. I pani też go mało zna, bo jest cichy i w oczy nie lezie. Pani też jest dla niego niesprawiedliwa, bo jak on nie umie, to nie umie i nie potrafi zatrajlować ani ściągnąć. Dlaczego ma tak być, żeby zawsze rej wodzili tacy, co mają głębę od ucha do ucha, a cichy i sprawiedliwy tylko musi chować się, żeby mu nie dokuczali?

Na ostatku jeszcze tylko jedno powiem, jak było z tym śniadaniem. Teraz już mi wszystko jedno, czy mi pani pozwoli wrócić do szkoły, czy nie, więc nie potrzebuję nic ukrywać. Pani mi uwierzyła, że ja tego śniadania nie wziąłem, i jestem pani za to bardzo wdzięczny, i dlatego się przyznaję. Więc to tak było. Wuj powiedział, że jak jestem głodny, mogę sam ukrajać<sup>67</sup> kawałek chleba, a ciotka mi wydzielala. Raz ciotka kazała mi rąbać drzewo dla sąsiadki za to, że ona pożyczyła ciotce swoją broszkę na wizytę. Ja byłem zmęczony i głodny i miałem jeszcze lekcje do szkoły skończyć. Więc nie chciałem. Ciotka naskarżyła wujowi, wuj się na mnie gniewał, a że to było pierwszy raz i niesprawiedliwie, więc wujowi powiedziałem, jak było. Wtedy wuj krzyczał na ciotkę, a ciotka powiedziała, że karmi szpiega w domu, więc niby mnie. „To mnie ciotka nie będzie karmić” — powiedziałem. Byłem wtedy strasznie nieszczęśliwy. Czulem, że powinienem odejść, a szkoda mi było szkoły. Więc postanowiłem nie jeść, dopóki mnie ciotka nie przeprosi. Dwa dni nic nie jadłem. Pani myśli, że dwa dni — to mało, a ja mówię, że dużo. Więc wtedy był drugi dzień, ciotka nic nie mówiła i ja nic. A wuja nie było, bo wyjechał. Więc wtedy był drugi dzień właśnie, kiedy on na pauzie rozwinął gazetę i zobaczył, że ma czarny chleb na śniadanie, więc powiedział: „a to cholery, nie mogli dać białego chleba, nie będę tego świństwa jadł”. Rozumie pani: na rodziców powiedział — cholery, a na chleb — świństwo. Więc mu zabrałem to śniadanie, zrobiłem to jak nieprzytomny, bo przecież byli chłopcy w klasie i mogli zobaczyć. Potem mówili, że ja się kręciłem koło jego ławki. Ja się nie kręciłem, tylko doszedłem i wyjąłem, i włożyłem do kieszeni. Potem poleciałem na dół i schowałem za rynnę. A dopiero na drugi dzień wyjąłem i dałem dziadkowi, temu — on często stoi naprzeciwko — może się go pani zapytać. Ja wiem, co pani myślała: że to palto, co zginęło, i książki, i scyzoryk, że może ja to wszystko wziąłem. Więc ja mogę przysiąc, że nic nie brałem więcej, i mogę obiecać, że nic nie wezmę. Bo wtedy już pani mi<sup>68</sup> się pytała, czy nie jestem chory, a w domu zemdlałem, więc ciotka się przestraszyła i już teraz głodu nie mam.

Ale nie mogę przyrzec, że się nigdy nie spóźnię i że się nie będę bił. Kto powie co<sup>69</sup> na mojego ojca albo na matkę, albo nawet na wuja i ciotkę, ten dostanie ode mnie; ja mogę pozwolić na siebie szczekać, byle nie za często, i mogę ich unikać. A jak pani tego warunku nie przyjmie, to wrócę do swoich kurierkarzy i może będzie nawet lepiej.

Dziękuję pani bardzo za naukę, a jak mnie pani do szkoły nie przyjmie, to proszę się na mnie nie gniewać.

<sup>66</sup>mnie — dziś popr.: mi. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>ukrajać — dziś popr.: ukroić. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>mi — dziś popr.: mnie. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>co — tu dziś popr.: coś. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/korzak-feralny-tydzien>

Tekst opracowany na podstawie: Janusz Korczak, *Feralny tydzień*. Opowiadania, Wyd. J. Mortkowicza, Warszawa-Kraków 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska, Biuro Rzecznika Praw Dziecka

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) we współpracy z Biurem Rzecznika Praw Dziecka.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Katarzyna Makaruk, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0381-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do **Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.